

Maciej Wojtyszko

### Czarno widzę

Reżyser nie jest w teatrze konieczny. Nie było go sto lat temu ,i być może nie będzie go za następne dwadzieścia lat.

To znaczy zapewne będzie słowo "reżyser" ale co ono będzie znaczyć? Kim będzie człowiek wykonujący ten zawód?

Reżyserem prapremiery „Wesela” był Adolf Walewski , trochę aktor , trochę inspicjent. Podobno zaproponował Wyspiańskiemu, żeby wszystkie sceny ze zjawami zaświecić na czerwono( właśnie w tym czasie wkroczyło do Teatru Miejskiego miasta Krakowa oświetlenie elektryczne)

„Po co ?” spytał Wyspiański. „Żeby było bardziej efektownie” odpowiedział reżyser. „To jest już wystarczająco efektowne” powstrzymał go Wyspiański.

Adolf Walewski znalazł licznych naśladowców. Mają do dyspozycji całą nowoczesną technikę, mogą migać różnokolorowymi światłami na setce ekranów, mogą jak to zjadliwie powtarzała ongi Olga Lipińska „ubarwiać baletem”, łupać ze sceny setki decybeli, mogą też stosować inne „uatrakcyjnienia” bo przecież współczesny widz jest niespokojny- jeśli go nie złapiemy za gardło nie wstrząśniemy i nie zmieszamy- satysfakcji mieć nie będzie.

Takie przynajmniej stanowisko można spotkać wśród wielu osób które zajmują się dziś teatrem.

W moim odczuciu ktoś kto skupia się na tak pojmowanym montażu atrakcji ma niewiele wspólnego z zawodem reżysera rozumianym tak jak go uprawiali lub uprawiają Peter Brook, Erwin Axer, Leon Schiller, Jerzy Jarocki czy Krystian Lupa.

Ktoś taki jest raczej późnym dziedzicem słynnego amerykańskiego producenta Zigfelda który mnożył na Broadwayu schody i ilość schodzących po nich dziewczyn z piórami w rozmaitych punktach ciała, a reklamował swoje widowiska głównie podając sumy wydane na realizację.

Wiara ,że ilość przechodzi w jakość charakteryzuje raczej przedsiębiorców, ale o ich dalsze istnienie nie powinniśmy się obawiać bo niewątpliwie przedsiębiorcy nie znikną dopóki będzie funkcjonował kapitalizm.

Czy w takim razie każdy kto tworzy reklamę telewizyjną powinien być nazywany artystą?

Niektórzy zapewne tak(Fellini zrobił podobno jedną czy dwie doskonałe reklamy)ale wpływ producenta na efekt końcowy nawet w stosunku do filmów fabularnych bywa w Ameryce tak potężny, że właściwie to on jest głównym twórcą, a reżyser to często bywa ktoś nie mający wpływu na obsadę, nie wpuszczany do montażowni i zmieniany w trakcie zdjęć jeśli w

odczuciu producenta pracuje za wolno. Człowiek wynajmowany do ustawiania scen pod kamerę.

Wróćmy jednak do teatru.

Jakie funkcje przez te ostatnie sto lat spełniał reżyser?

Bardzo różne.

Już wiemy, że rola Adolfa Walewskiego była dość skromna, a pozycja autora tekstu dramatycznego znacznie silniejsza.

Przeskoczmy dziewięćdziesiąt lat i przypomnijmy sobie słynne dziesięć punktów Sławomira Mrożka. Jerzy Jarocki odrzucił warunki autora. Erwin Axer zaakceptował. Krakowską prapremierę „Miłości na Krymie” reżyserowałem ja, w poczuciu solidarności z autorem, niejako na znak wsparcia ludzi piszących dla sceny, trochę przeciwko dyktaturze i nadmiernej zaborczości reżyserów. Czasy były już jednak całkiem inne. Reżyser w teatrze urosł, autor zmalął.

Jarocki wrócił do „Miłości na Krymie” dziesięć lat później, a Mrożek o ile mi wiadomo zniósł korekty mistrza z pokorą.

Reżyser jeśli reżyserował utwór klasyczny mógł, a nawet powinien „odczytać na nowo”, dać odkrywczą interpretację i naturalnie odcisnąć swoje niepowtarzalne piętno.

Rewolucje sceniczne wprowadziły w dwudziestym wieku do teatru nie tylko reżysera inscenizatora ale też scenografa, partnera i współtwórcę widowiska teatralnego.

Czasem jak w przypadku Kantora i Grzegorzewskiego dwa w –jednym. Wybitny plastyk posługiwał się literaturą tworząc przy tym swoją autorską wypowiedź. Często jak w przypadku „Dziadów” Grzegorzewskiego szala przechylała się niebezpiecznie na korzyść plastyka, ale już wtedy ani krytycy ani widzowie nie mieli nic przeciw temu aby po scenie biegało siedem Rolisonowych.

Oburzenie Czesława Miłosza na przesłane mu nagranie „Dziadów” Swinarskiego dowodzi, że proces akceptowania przez ludzi piszących inwazji inscenizatorów przebiegał z pewnym trudem, ale drzwi do dekonstrukcji zostały już wówczas uchylone.

Pojawił się też wkrótce nowy fascynujący zawód. Dramaturg. Nie ktoś kto pisze dramaty tylko ktoś kto przygotowuje jakieś teksty na scenę. Ktoś kto chodzi po śmietniku kultury zwanym Światem albo Biblioteką i wycina z tego potrzebne mu kawałki.

Ironizuję ale zarówno w przypadku niektórych działań dramaturgów jak i reżyserów nowej generacji którzy często mają słabe pojęcie o pracy z aktorem powraca do mnie rysunkowy żart sprzed lat stworzony przez Szymona Kobylińskiego. Obok łucznika kroczy duży jegomość z tęczką i mówi: „Nie, nie! Ja strzelać nie umiem. Ja będę panu pokazywać cel”

W poprzednim stuleciu dramaturga nazywano raczej adaptatorem a on sam nie uważał się za twórcę tylko za kogoś kto służebnie dostosowuje teksty twórców literatury do potrzeb sceny.

Był tak czy inaczej na służbie literatury.

Obecnie jest trochę inaczej.

Reżyser już nie czeka na tekst od jakiegoś tam Wyspiańskiego tylko układa wraz z dramaturgiem swoją wycinankę ze wszystkiego co im się nawinie pod rękę.

Przestarzała podobno teoria literatury Welleka i Warrena oparta w dużym stopniu na fenomenologii Ingardena zakładająca istnienie w dziele sztuki konstytuujących się wartości estetycznych ustąpiła miejsca nowszej kwestionującej jakąkolwiek niezmiennosc.

Skoro wszystko się zmienia, powiada ta teoria, to często sam autor nie wie co napisał, a krytyk który odnajdzie to czego autor nie miał na myśli, to dopiero jest dobry krytyk!

Te durne Szekspiry i Czechowy coś tam bredziły na różne tematy ale teraz jest inny czas, więc my bierzemy od nich to na co mamy ochotę i niech spadają.

Reżyser przestaje być pośrednikiem między myślą autora tekstu literackiego a widzami, a staje się samodzielny autorem nieograniczony w swoich działaniach właściwie niczym poza własnym ograniczeniem którego często nie zauważa.

Ostatnie korekty w myśleniu o teatrze i zawodzie reżysera wniosła performatyka.

Czy Marinie Abramowicz lub Remi Gaillardowi potrzebny jest reżyser? Dla niewtajemniczonych powiem, że Remi to ten sympatyczny facet który przebiera się za pingwina albo Batmana i wbiega do różnych miejsc publicznych, a Marina Abramowicz legendarna performerka przesiedziała wiele dni na krześle twarzą w twarz z odbiorcami podczas happeningu "obecność artysty".

Oni akurat sami się reżyserują.

Aby nie przedłużać. Reżyser pojawił się w teatrze aby pomagać aktorom w komunikowaniu z widzami.

Komunikowanie poprzez dzieło sztuki jest procesem złożonym, dzieło teatralne jest dziełem synkretycznym, wiąże ze sobą przekaz na wielu poziomach- dźwięki, obrazy, słowa, ruch, ludzie, przedmioty gromadzone są w celu wywołania myśli i emocji.

Same myśli zapewne lepiej wywołuje lektura tekstu filozoficznego, same emocje mecz piłkarski albo wizyta w rzeźni.

Wielkim wyzwaniem, fascynującym zadaniem reżysera i zespołu aktorskiego było takie składanie emocji, myśli, muzyki i literatury aby rzeczywistość objawiła się widzowi w nowym wymiarze, aby odebrał jakieś cenne, dla niego ważne sygnały, sygnały częściowo podprogowe

, czasem opakowane w metafory , czasem doprowadzające do tego niełatwego Arystotelesowego pojęcia katarsis, a czasem do zdumiewającego, wyzwającego śmiechu.

W centrum tego wyzwania był aktor i była literatura.

Była tajemnica człowieka i wiara w możliwość odsłonięcia jakichś prawd o naszej egzystencji.

Była też nadzieja na poznanie poprzez sztukę i miłość do wspólnoty która porozumiewa się przy pomocy swoich mitów, swojej pamięci kulturowej.

Nie jestem pewny czy pod taką deklaracją podpiszą się absolwenci wydziału reżyserii za następne dwadzieścia lat ,zwłaszcza ,że takie słowa jak wiara ,nadzieja i miłość już dziś brzmią dla niektórych jakoś banalnie i anachronicznie , a poza tym mogą już im się nie skojarzyć ani ze świętym Pawłem ani tym bardziej z Czechowem.

Liotard , Derrida ,Habermas i wielu innych filozofów propagujących dekonstrukcję o ile dobrze zrozumiałem ich stanowiska( oraz opinie pani profesor Iwony Lorenz o ich stanowiskach) kwestionują Kantowskie *sensus communis*- wspólnotę sądu estetycznego.

A to pociąga ze sobą daleko idące konsekwencje.

W swojej wersji ponowoczesnej teatr skupia się na nieco odmiennych celach. Wstrząs bez oczyszczenia , szok bez komentarza, dekonstrukcja tekstu bez szansy na odbudowę. Zadowolenie twórców z faktu ,że widz opuszcza salę zirytowany i zdezorientowany, całkowite odrzucenie tej aksjologii która umożliwiała księdzu Tischnerowi pisać o myśleniu w żywole piękna.

Na tym tle poczciwy Sartre ze swoimi egzystencjalnymi absurdami wpisanymi w dobrze skonstruowany dramat wydaje się być naiwnym literatem i anachronicznym moralistą.

Heidegger zakładający ,że autentyczne dzieło sztuki tym bardziej jest dziełem sztuki im bardziej uczestniczy w odsłanianiu prawdy bycia naraziłby się zapewne na totalną krytykę, bo taki pogląd zakłada aż dwa pewniki ,obecnie nagminnie kwestionowane.

Pierwszy, że istnieje prawda , drugi ,że można ją odsłonić przy pomocy sztuki.

A więc reżyser teatralny , ten reżyser który odsłania i deszyfruje myśl zapisaną, wzmacnia słowo skomponowane , reaktywuje mit i tworzy komunikat sceniczny- metaforę, być może będzie powoli ustępował miejsca organizatorom wspólnot terapeutycznych, zdarzeń performatywnych i pomysłodawcom prowokacji towarzyskich.

Ponieważ spojrzenie na świat zdeterminowane jest nieuchronnie tym jak żyliśmy i do czego zmierzaliśmy, dla mnie osobiście pożegnanie z Szekspirem i Słowackim, Bernhardem i Różewiczem, Bułhakowem i Gombrowiczem na korzyść happeningów ,performansów, improwizacji i instalacji w których to zdarzeniach wyżej wymienieni autorzy są traktowani

jako chłopcy do bicia lub w najlepszym wypadku poklepywania po ramieniu , takie pożegnanie niepokoi i jest odczuwane jako strata.

Być może nie starcza mi pychy by uznać ,że wystarczy żyć aby mieć rację przeciw genialnym nieboszczykom, być może staję w ich obronie bo dawno temu usłyszałem „Świętości nie szargać, bo trza aby święte były”, a być może lenistwo nie pozwala mi na całkowitą zmianę ukształtowanych poglądów.

Jednak zgadzając się na to, że czasem warto utracić poczucie bezpieczeństwa i ,że bywa to kształcące i rozwojowe, cieszę się ,że w związku z nieuchronnie nadchodzącą emeryturą będę mógł wkrótce zrezygnować z dalszego nauczania młodych reżyserów.

Jak mówi Eklezjasta ” jest czas zbierania kamieni i czas rozrzucania kamieni”

Całe życie zbierałem i już nie mam ochoty rozrzucić.